

Rozmaitości

Dnia 13. stycznia

Nr 2.

1838 roku.

SALWADOR.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy.)

Pani Laudon wyrozumowała skutek nieomylny; skoro pierwsze bolesne uczucia przeminały, następne, jako łagodniejsze, skłoniły już jej kochanka do posłuszeństwa. I tak się stało. Salvador, nie zastawszy jej nazajutrz w domu i przeczytawszy list pożegnawczy, omal zmyśłów nie stracił z rozpacz. Przez dni dwa nigdzie nie miał spoczynku; pospieszył do Paryża i znowu do C., lecz dokąd się udała, nikt powiedzieć nie umiał. Dnia trzeciego wsiadł na dyliżans i do Montpellier wyjechał.

W przeciagu niemal pół roku pani Laudon, odbywszy podróż do Anglii, przybyła znowu do Paryża. Namiętność w niej była prawie wygasła, już się miała prawie za zupełnie niezdolną do uczuć miłości, a przynajmniej do takiej, jaką niegdyś Salvador w jej zamarych uczuciach obudzić zdołał.

Od tego czasu nie słyszała już o Hiszpanie, nie wiedziała bynajmniej, co się z nim stało, i z początku nawet mało dbała o to. Jednakże myślała o nim w chwilach wolnych, a szczególnie gdy się znudziła obok pewnego Anglika, który dla udowodnienia jej swojej szczerzej, a dla niej zawsze obojętnej miłości, przyjechał za nią do Paryża. Lord Wilson był jednym z liczby tych, tak mało natrętnych ludzi, których, ażeby być samotnym, oddalać od siebie niekoniecznie było potrzeba. Nie był on pochopnym, ani do gniewu, ani do zazdrości; nie wymagał wiele, ani rościł sobie, że ma jakiś prawo; w całym swoim widokregu nie widział nikogo, tylko siebie samego; nie pytał nigdy o przyczynę jakiejś rzeczy, i był spokojny mimo największe dzi-

wactwo swej kochanki; nie zrażał się bynajmniej ani jej sprzeciwieniem, ani jej postępowaniem, przyszedł i został wtedy, kiedy się to pani Laudon podobało; ona zaś była zupełnie przekonana, że się jednym słowem pozbyć go może, i że postępek ten nie bardzo go obejdzie; dla tego nie zadawała sobie w tej mierze żadnej pracy. Lord Wilson zdawał się poznawać, że jest tylko przyjacielem tymczasowym, albowiem gdy jednego razu ośmielił się wspomnieć o małżeństwie, a żadnej na to nie otrzymał odpowiedzi, rzekł dumnie: »Pani nie mówisz: tak, i nie mówisz: nie; dobrze więc. Otoż i ja nigdy już o tém nic mówić nie będę. Gdy się pani namyślisz, wtedy sama mnie o tém uwiadomisz.«

Po jakimś czasie wzięła pani Laudon ciekawość dowiedzenia się, co też się stało z Salvadorem, i będąc pewnego dnia więcej aniżeli za zwyczaj znudzoną, postanowiła udać się do jednej swej przyjaciółki, u której się po raz ostatni z nim widziała.

»Ach! witaj mi, witaj, kochana przyjaciółko,« zawołała pani D. ujrawszy ją wchodzącą; »gdzieżeś to przez tak długi czas przebywała? Już cię tak dawno w Paryżu nie widziałam. Ty nie masz w zabawach stolicy żadnego upodobania, lubisz ciche, spokojne, wiejskie życie; czego ci mocno zazdroszczę.«

»Powracam z podróży,« odrzekła z westchnieniem pani Laudon; »jestem cierpiącą; lekarze radzili mi, abym się do Anglii udała.«

»Co mi powiadasz! a przecież wyglądasz jak róża, świeża, czerstwa, kwitnąca; spokojność i słodka posępnosć młodej wdówki przemawia z ciebie niezatartem znamieniem; bardzo rozsądnie czynisz, że już nie idziesz za męż; albowiem w troskach, które mi nas nie-

czuli mężowie obarczają, tém bardziej jeżeli do nich cokolwiek przywiązane jesteśmy, nigdybyś tak pięknie i świeżo nie wyglądała. Szczęśliwaś, że się w nikim nie kochasz.»

»Tak sądzisz?« ozwała się pani Laudon, uśmiechnąwszy się z westchnieniem, a potem rzekła: »Powiedz mi też cokolwiek o znajomych, którzy zapewne myślą, że już umarła. Wieczory bywały u ciebie niegdyś bardzo przyjemne; czy też przypominasz sobie pewnego Hiszpana jeszcze?«

Don Salvador de la Vega? On się kochał w tobie, aleś mu nie była wzajemna; jam tego zaraz dostrzegła! Zapewne nic ci o tém ani wspomniał. Teraz inny człowiek z niego. Był przez niejaki czas w podróży; od dwóch miesięcy bawi znowu w Paryżu i odwiedza mię dosyć często.»

»Czy się jeszcze nie ożenił?« zapytała pani Laudon; »mówiono, że miał zaślubić jedną z swoich kuzynek.«

»Czy wiadomo ci o tém? Sądziłam, że przed twoim odjazdem nie było o tém mowy; rzecz ta zdawała się na długi czas zanosić, ale teraz już się skończyła, i właśnie w sam czas przybyłaś być na jego weselu. Za dwa tygodnie po Świątach Wielkanocnych ślub się odbędzie.«

»Tém lepiej!« odrzekła pani Laudon.

»Jestto bardzo korzystne ożenienie dla niego, i jak wnosić można, zapewne go wielce uszczęśliwi.«

»Spodziewam się, że jedno drugie wynagrodzi; piękny tytuł, wielki majątek, ale żona...«

»Żona najpowabniejsza, jak anioł piękna!«

»Jako?« zapytała pani Laudon zdziwiona; »wszakże ona jest garbatą.«

»On się nie żeni z garbatą,« odrzekła pani D.; »widać, iż nie wiesz całego zdarzenia; jestto prawdziwy romans. Książę de la Vega miał dwie córki; starsza, która została dziedziczką majoratu, jest, jak powiadają, małą, brzydką i ułomną istotą, lecz jej siostra Teresa, która dla niedostatecznego posagu miała wejść do klasztoru, jest wzrostu klasycznego, smukłą, młodą, jak róża piękną osobą. W czasie gdy starsza, dla poratowania swego zdrowia, zjechała do Montpellier, gdzie don Salvador zaczął się starać o jej rękę, młodsza bawiła w Hiszpanii. Już wszystko było do związków ułożonem, gdy księżniczka de la Vega nagle

odmieniła swój zamiar. Rozważyła sobie, że będąc szpetną, nie może się spodziewać wzburzenia miłości w swoim małżonku, i bądźto z obawy, bądź też ze szlachetnego uczucia, rzekła się wszystkiego i oświadczyła stanowczo, iż w miejsce swojej siostry, której godność i majątek swój odstępuje, zamyśla wstąpić do klasztoru. Ułożywszy ten akt zręczenia się, podała do króla o zezwolenie, które wkrótce nadeszło, a obiedwie siostry zjechały się ze sobą na granicy. Powitanie ich miało być bardzo rozrzuwającym; zabawiły jeszcze przez kilka dni ze sobą, a potem jedna zamknęła się w klasztorze, a druga w towarzystwie starej swjej ciotki pojechała do Paryża, dokąd Salvador kilkoma dniami ich wyprzedził. Jest już tutaj. Byłam u niej z wizytą; nie mówi ona po francuzku, i wygląda całkiem po hiszpańsku, ale ma za to czarujące oczy i lat szesnaście! Jój narzeczony, chociażby i nie chciał, musi w niej być bardzo rozkochanym.«

»Czy tak ci się zdaje?« zapytała pani Laudon głosem zupełnie szczególnym.

»Sądzę, iż powinien być bardzo szczęśliwym, biorąc sobie z tym pięknym tytulem, z tym ogromnym majątkiem, tak młodą i tak piękną panienkę, która więcej warta, niż jej posag.«

»Don Salvador godzien jest tego szczęścia, i życzę sobie zobaczyć się z nim, abym tego szczęścia powinszować mu mogła.«

»Jeżeli chcesz, dziś jeszcze w wieczór możesz się z nim widzieć, on bywa u mnie każdej soboty; zostaniesz u mnie na obiedzie.«

»Nie byłabym od tego, ale zbyt jestem niezdolna ubraną,« odrzekła pani Laudon, spojrzawszy do zwierciadła.

»Zkądże ci się ta próżność wzięła! Ty wyglądasz wyśmienicie, upewniam cię. Nie będą u mnie też goście, tylko tacy, dla których nie koniecznie stroić się potrzeba. Nie wiem prawdziwie, gdzie się ta młodzież zapodziała, która niegdyś u mnie na wieczorach bywała, chociaż jeszcze zawsze młode mężatki i piękne wdówki odwiedzać mnie nie przestają. Ale wiadomo ci, iż te do zabawy nie są dostatecznemi; do miłozgodnej kompanii trzeba koniecznie i mężczyzn, młodych mężczyzn, a tu nie masz, tylko samych statecznych bezżeńców! Jeden tylko Salvador de la Vega został nam wiernym.«

»Przedstawię ci pewnego Anglika, niejakiego lorda Wilson; nie jest on wprawdzie pięknym, ale ma dopiero rok dwudziesty ósmy.«

»Dobrze,« odrzekła pani D., »ja lubię Anglików; oni są do towarzystwa stworzeni. Postępowanie ich jest grzeczne, w niczem nienaganne, i gdy do wista czwartej osoby nie staje, zawsze się na nich spuścić można. Prawda, że mało mówią, ale i tacy ludzie do zapelnienia sali są potrzebni; używamy ich do ozdoby, podobnie jak kwiatów, które w wazonach wstawiamy, chociaż woni nie mają.«

Po obiedzie zajęła pani Laudon miejsce w poręczowym krześle w głębi salonu i zapadła w zamyślenie. Dziwiła się swojej nadzwyczajnej niespokojności serca, była rozłagana, i za każdą razą, ilekroć tylko drzwi się otworzyły, uczuła w sobie jakieś wzdręgnięcie. Czas upłyniony zaczął jej znowu miłe nasuwać wspomnienia, ale pomieszane z jakąś goryczą.

Już się w salonie nie mało znajdowało gości, gdy zapowiedziano przybycie Salvadora. Pani Laudon cofnęła się po za stolik aż do kominka. Hiszpan wszedłszy nie postrzegł jej bynajmniej. Było ten sam mężczyzna, w którym się tak mocno kochała, zawsze jeszcze poważny i dumny, mający piękne rysy twarzy i szlachetne spojrzenie, ale zdawał się być cokolwiek żywszym i więcej do towarzyskiego życia umodelowanym. Pani Laudon drżała, ilekroć do niej się zbliżał; słysząc głos jego, czuła gwałtowne bicie serca. Gdy Salvador, nie postrzegłszy jej, przeszedł koło niej, wtedy dopiero pani Laudon powstała żywo z swego miejsca i pokazała się mu niespodzianie. Hiszpan stanął jak wryty; nie widać było w nim wprawdzie ani zdziwienia, ani walki głębokiego uczucia, ale to widać było niezaprzecznie, że zbladł niezmierznie i zaledwo kilka słów przemówić zdołał. Pani Laudon znowu cokolwiek się uspokoiła.

»Nie spodziewałam się, że będę miała tę przyjemność widzenia wćpana tu dziś wieczór,« rzekła. »Wćpan podróżowałś?« Salvador odpowiedział tylko skinieniem głowy. »I ja dopiero powróciłam nie dawno,« rzekła dalej; »przepędziłam kilka miesięcy w Anglii, i miałam zamiar zostać tam przez rok cały, lecz byłabym się w tym mglistym

kraju nabawiła suchot, i dla tego zmieniłam spieszno powrót. Wćpan zaś szczęśliwym byłś w swojej podróży.«

»Byłem pani posłusznym,« odpowiedział jej Salvador w języku hiszpańskim.

Pani Laudon, oparła się o róg kominka i rzuciwszy szybko w około siebie wzrokiem, dla przekonania się, ażali się na nią kto nie patrzy, rzekła w westchnieniu: »Ach, jakże dla mnie miłym jest ten język, któregoś mię wćpan nauczył! Jakże słodko odbijają się te dźwięki w mojem sercu! Już tak dawno ich nie słyszałam. Mów wćpan, opowiedz wszystko, co się mu w tym długim czasie wydarzyło. Salvadorze, wćpan jesteś szczęśliwym, a nawet szczęśliwszym, niżelam się spodziewać mogła.«

»Tak jest, jestem bardzo szczęśliwym!« przerwał z kwapliwością Salvador; »panna de la Vega jest jak anioł piękna, jak anioł niewinna! Czyż biedne, czyż udręczone serce nie byłoby uszczęśliwione obecnością tak dobrej, tak powabnej istoty! Ten byłby głazem, nie człowiekiem, ktoby jej mógł nie kochać. Ach! tak jest, jestem bardzo szczęśliwym.«

Gdy Salvador wyrzekł te słowa, pani Laudon trzymała w nim długo wzrok wyteżony, a potem westchnąwszy, odrzekła: »Tém lepiej, życzę mu; szczęścia, czy będziesz tak łaskaw odwdziżyć mnie?«

Salvador odpowiedział skłonieniem głowy, jakby się obawiał dłużej przeciągać tę rozmowę. Pani Laudon nie śmiała już do niego zbliżyć się powtórnie i już tego wieczora z sobą nie mówili.

Są ludzie, dla których mocne wzruszenia są niezbędną potrzebą; im swoboda serca prawdziwą jest męczarnią. Ludzie takowi podobni są do roślin rosnących na wierzchołku góry, które nieustannie burze i wiatry miotają; zdołają oni znieść boleść najdotkliwszą, ale znudzenia nigdy przeżyć nie mogą. Do liczby takich ludzi należała pani Laudon; czuła ona w sobie prawdziwą potrzebę rozdrażnienia uczuć swoich, wylania łez i nasycenia się tą gorzką rozkoszą, która tylko z namiętności wynika. Już dawno nie doznawała takiej ulgi, jak tej nocy, którą po zobaczeniu się z Salvadorem, całkiem we łzach przepędziła. Równie z rozpaczą, jak

i słodką rozkoszą przypominała sobie ów upłyniony czas, w którym każdy dzień w jej życiu był nowym dramatem. Jeszcze była zajęta temi przypominieniami, gdy nazajutrz z rana odwiedził ją lord Wilson. Pojrzwawszy na tę nic nieoznaczającą, pomiędzy symetrycznie ułożonemi puklami, uśmiechającą się twarz Anglika, nie mogła się wstrzymać od niecierpliwości. Z roztargnieniem odebrała bukiet, który jej od pięciu miesięcy codziennie Anglik przynosił; ale ani spojrzała na dawcę, ani mu podziękowała zwykłym uśmiechem za grzeczność jego; skinęła tylko, ażeby sobie usiadł. Lord Wilson był dla niej tej chwili nie w porę i bardzo nieznośnym; dniem wprzód zdusił ją niemiłosierdnie, a teraz był jej na przeszkodzie, dla tego postanowiła zerwać z nim na zawsze. Lecz ta rzecz nie była tak łatwą, jak sobie z początku wystawiała; lord Wilson nie dał jej do tego najmniejszego powodu; postępowanie jego było tak grzeczne, tak przyzwoite, iż nie wiedziała sama, skądby wziąć zaczątek do rozstanku; wszystkie powody rozbijały się o tę niezmienną, i zawsze gładką powierzchowność Anglika. Pani Laudon postrzegła jednak dwa środki pozbycia się tego kochanka; nabrała więc odwagi i pierwszy raz w swém życiu skłoniła się w niejaki sposób do szczerzego wyznania. Do tego kroku zagnęła ją najprzód niezbędna chęć zmienienia przykrego położenia, które było dla niej przeszkodą, powtórę potrzeba wynurzenia swych żalów i mówienia o Salwadorze.

Tak mocno przekonana była o zamilczeniu i przywiązaniu Anglika, iż się bynajmniej w tej mierze nie wahała.

»Kochany Jérzy,« rzekła do niego po niejakiem milczeniu, »już dawno ciąży na mojem sercu przykra, nieznośna tajemnica; tajemnica, którą tylko przed najszczerzszym przyjacielem wyjawić mogę... Wćpan jesteś moim najszczerzszym przyjacielem.«

Lord Wilson podziękował schyleniem głowy i wypatrzył się na nią z zadziwieniem, a pani Laudon rzekła dalej:

»Nim wćpana poznałam, miałam znajomość z pewnym mężczyzną, któregoś kochała z taką tkliwością i poświęceniem się, na jakie tylko serce kobiety zdobyć się może, i jak tylko raz w życiu kochamy...«

»Czy podobna!« zawołał lord Wilson, a postrzegłszy, że się w oczach pani Laudon łzy zakręciły, dodał: »Uspokój się, nie płacz, moja najmilsza; jestto nieszczęściem; jakże temu teraz zaradzić? Powiedz mi, jak się to stało?«

Pani Laudon opowiadała mu swoje miłości z Salwadorem, przedstawiała mu swoje rozłączenie się z nim jak bolesną ofiarę z swojej strony, i uwiadomiła go, że dnia wczorajszego znowu się z nim widziała. Mówiła o wszystkiem czule i łzy wylewając, bo w tej chwili czuła w samej istocie to wszystko, co mówiła. Któżby był wątpił, kto mógł utrzymywać, iż w sercu tej niewiasty nie mieszka głęboka i wierna miłość, jedna z tych namiętności, która, jak owo zarzewie pod popiołem, wprowadzie zataić się zdoła, ale nigdy całkiem zgasnąć nie może! To długie opowiadanie, przeplatane było głębokiem rozumowaniem i niezbitemi wnioskami, dla przekonania lorda Wilsona, że szczęście jego było tylko chwilowym oblędem, przemijającym omamieniem, i że mu nic innego nie pozostaje, jak tylko w przyszłość być jej przyjacielem. Biedny Anglik słuchał tego wszystkiego z zadziwieniem; czasem tylko wzruszywszy ramionami, przerywał temi słowy: »Rozumiem; o, rozumiem bardzo dobrze! Ach, tegom się nigdy nie spodziewał!«

»Uważ wćpan, jak jestem nieszczęśliwa!« rzekła nakoniec pani Laudon; »już się stało, on się ożeni, ja sama tego chciałam! Ach, znajdęż tyle siły, abym zniosła tę boleść?«

»Trzeba ci oddalić się z tych miejsc niebezpiecznych, trzeba ci podróżować, moja najmilsza,« rzekł Anglik z skwapliwością; »w podobnem zmartwieniu największą ulgę przynoszą nam podróże. Ja ci będę towarzyszył.«

»Nie, nie mój kochany Jérzy,« odrzekła pani Laudon, »ten kielich goryczy muszę aż do dna wychylić, poznam wprzód osobę, z którą Salwador się żeni, będę na ich weselu. Boże mój, użycz mi siły, której tak bardzo potrzebuję!«

Od tej chwili Jérzy Wilson był cierpliwym i tajemnym powiernikiem tego wszystkiego, co mu pani Laudon poufać raczyła; zapomniał zupełnie o swjej roli kochanka i został szczerym jej przyjacielem. Właśnie się tego pani Laudon spodziewała; posiadała

bowiem szczególniejszą zdolność korzystania z owych przesilen, w których inne kobiety zwykle ponoszą stratę.

Nazajutrz przyszedł Salwador do pani Laudon; wiedziała ona dobrze, że co bądź się już stało, przyjąć nie omieszka; była sama jedna, i nie mając żadnego wyrachowanego zamysłu, otoczyła się takimi przedmiotami, któreby tylko czas upłyniony w pamięć mu przywieść mogły. Przyjęła Hiszpana w gabinecie, w którym jeszcze wszystko na tém samém znajdowało się miejscu, jak w upłynionym roku, gdy go w nim co wieczór oczekiwała. Kwiaty, które niegdyś tak często Salwador zatykał w piękne Liwii włosy, roniąc wonie najprzyjemniejsze, kwitnęły znowu w wazonach; książka, którą nie raz razem czytali, leżała znowu na stoliku otwartą, a pani Laudon siedziała znowu tak, jak przedtém, piękna, tęskniąca, zadumana.

Salwador wszedłszy, został głęboko wzruszonym; najpiękniejsze, najprzyjemniejsze chwile życia jego stanęły mu w pamięci, nito błyskawica oświeciły mu całą jego przeszłość i powróciły mu ją znowu z urokiem. Drżący, ze łzami w oczach poglądał na wszystko, co go otaczało; potem wyciągnąwszy swoje ramiona do pani Laudon, przycisnął ją z zapalem do swego serca i rzekł: »Ach, Liwio, jakąż boleść przyniosła nam twoja ofiara! Jakżem ja teraz nieszczęśliwy!«

Wtedy pani Laudon rozplakawszy się, rzuciła się w jego objęcie i nazwała go znowu swym Salwadorem.

»A ja dałem słowo moje!« rzekł dalej w rozpacz.

»I dotrzymasz go!« odrzekła, »zaślubisz pannę de la Vega, a jednak kochać mnie nie przestaniesz.«

»Jakiżto los zgótowałaś dla nas! Ach Liwio, ten postępek będzie zgubą dla mnie, dla ciebie i dla tego anioła, którego tak haniebnie zwodził!«

»Alboż cię ona kocha?« zapytała pani Laudon.

»Nie wiem o tém z pewnością,« odrzekł, »ona jest i dumną i nieśmiałą zarazem. Wystaw sobie życie tego niewinnego dziewczęcia, które w samotności, w oddaleniu od towarzysztwa, w surowych prawidłach klasztoru jest wychowane; zaledwo śmieć podnieść oczy na mnie; w niewinności swojej nie zna nawet co ten wyraz: miłość, oznacza. Ona jest

aniołem, którego bym ubóstwiał, gdybym o tobie mógł zapomnieć.«

Słowa te dotknęły panią Laudon, uczuła się przez to upokorzona, wiedziała bowiem bardzo dobrze, na jak niskim znajdowała się stopniu w porównaniu z tą wysoką cnotą dziewczęcia. Powstała w niej zazdrość ponura i nienawiść trapiąca straconego z niebios anioła, który widzi nad swoją głową białe skrzydła i jasną łunę wzlatującego w niebo serafina.

»Niestety!« rzekła, »los nasz spełnionym zostanie; ciebie Salwadorze czekają rozkosze, mnie wieczna zgryzota...«

»Czy sądzisz,« odrzekł, »iż ja, utraciwszy ciebie, będę mógł się kiedy pocieszyć? Zaślubię Teresę, ale tylko ciebie kocham jedynie, ciebie tylko samą, aż do ostatniego tchu mego życia kochać będę. Nas łączą związki, które się nigdy nie zerwą; ożenienie to, do któregoś mnie sama przynagliła, nie wróci tobie twojej wolności; ty wprowadzisz nie będziesz moją, ale też żaden inny nie będzie posiadał serca twego, przysięgnij mi to Liwio!...«

»Przysięgam,« odrzekła bez wszelkiego wahania. Przysięga była dla niej rzecz łatwa, tylekroć bowiem razy w swém życiu już ją składała, a i razu jej nie dotrzymała.

Nie chciała ona przeszkadzać ożenieniu się Salwadora, знаła bowiem sama siebie aż nadto dobrze i dla tego nie śmiała brać odpowiedzialności za taką ofiarę; ale odzyskanie serca Salwadora było dla niej tryumfem, a więc bez wszelkiego zastanowienia się uległa niebezpiecznym uczuciom, które ją zajęły. Zaburzenie tego zamezcia sprawiało dla niej rozkosz okrutną. Rzecz niezawodna, iż nie życzyła ona sobie, pójść za tego mężczyznę, którego teraz, równie jak i zawsze, oszukiwała; ale nie mogła także znieść tego, ażeby go druga kochała, i uszczęśliwić mogła.

Jednego wieczora, w domu pani D., ujrzała pani Laudon po pierwszy raz narzeczoną Salwadora. Teresa de la Vega, dziedziczka najpiękniejszego majoratu w Katalonii, była piękną, młodą dziewczyną, mającą lat szesnastcie. Strój hiszpański, który nawet w obcym kraju ciągle nosiła, nadawał jej przy poważnej, surowej minie i smukłej kibici, coś uroczonego; piękność jej połączona była z tak poważnym wdziękiem, jaki rzadko która kobieta mieć mogła; uśmiech jej był jakas

dumą, na jej twarzy panowała oziębłość, ale niewymowna łagodność jej spojrzenia wykrywała pośepność i trwożliwość umysłu. Na widok jej doznała pani Laudon najprzekrzeszego uczucia w swoim życiu, czuła jakąś nienawistną zazdrość, jakąś szyderską ciekawość i to bolesne przekonanie w uznaniu swoim, że jest od niej we wszystkim daleko niższą. W tej chwili zwątpiła o swojej władzy i uczuła, iż Salvador mógł się w samej istocie rozkochać w tak niebezpiecznej dla niej dziewczynie.

»Ach nie,« pomyślała sobie, rzuciwszy na niego badliwym wzrokiem; »nie, to być nie może!... zezwalam, niech ją zaślubi, ale miłości jego odebrać mi nie zdoła! Nie, nie! przenigdy!« (Ciąg dalszy nastąpi.)

S Z A L O N A.

W malém, ładnym mieście Saumur, nad rzeką Ligierą, jest szpital dla szalonych. Dom ten zbudowany po części na skale, ma wykute w niej izdebki, zaopatrzone żelaznemi prętami. Przed kilkoma dniami przyszła jedna pani z swym mężem i małą córeczką dla zwidzenia tego smutnego przybytku nieszczęśliwych. Właśnie podówczas wyprowadzono na dziedziniec jedną niewiastę, pomieszaną zmysłów mającą, i przymocowano ją na łańcuchu do muru. Niewiasta ta zaledwo miała lat dwadzieścia; jej jasne włosy spadały malowniczo na jej ramiona, a w niebieskim oku jej miskała tak przyjemna łagodność, na twarzy jej tak ujmująca bledość, iż każdy patrząc na nią ubolewał nad jej nieszczęsnym losem.

Młoda pani, która z swoją rodziną przybyła do tego domu, dowiadywała się o przyczynę, dla czego przykuto tę nieszczęśliwą? Opowiadano jej, że to jest służebna z miasta, która zostawiwszy opuszczoną od swojego kochanka i utraciwszy dziecko, zakład miłości wzajemnej, pomieszania zmysłów dostała, a że w tej słabości często jest niebezpieczną dla drugich, dla tego ją przykuto. Siostra miłosierdzia z licem zapłoniocem i z spuszczonej ku ziemi wzrokiem, opowiedziawszy ten przypadek, ucałowała z skromnością krzyż na różańcu wiszący. Przybyła pani z mężem swoim stała jeszcze w zamyśleniu, gdy oto szalona za jednym razem skoczywszy, jak daleko jej łańcuch wystarczył, wyrwała z rąk matki dziecko i bieży z nim czém prędzej na kamienną swą ławkę.

Matka, wydawszy krzyk przeraźliwy, bieży do szalonej, lecz ta ją z dzikością odpycha od siebie.

»Ach, to dziewczyna!« wola nieszczęśliwa, »tak, to ona... moja Marynia! Bóg mi ją znowu powrócił! jakże dobry, jak łaskawy Bóg mój!«

To rzekłszy oddała się dzikiej radości, skacząc i pieszcząc, całowała i tuliła dziecko do swoich piersi. Ojciec chciał je przemocą od niej odebrać, ale siostra miłosierdzia przestrzegła go, aby tego nie czynił.

»Wszakżeto nie twoja córka,« rzekła do szalonej siostra miłosierdzia, »wszak ona do ciebie nie podobna.«

»Co? to nie moja córka? mój najslodszy Jezusie! Siostra Marto, przypatrzcie się! Wszakto są jej usteczka, jej oczka. Oh, całkiem do ojca jest podobna! Jam ją dobrze poznała. Ona z nieba powraca... ach, jakże piękne, jak miłe jest moje dziecko!«

Jakże w okropnej trwodze była biedna matka! jak wyteżonym wzrokiem ściagała najmniejsze poruszenie szalonej; jak to przestach, to nadzieja przemylały na jej twarzy, w miarę, jak szalona zdawała się skłaniać do oddania dziecienia, lub je do siebie mocno przyciskała.

»Pożyczcie mi swój córki, niech się jej dobrze przypatrzę,« rzekła szlachetna siostra miłosierdzia.

»Co? ja mam ją pożyczyć? Już mi raz mówili księża, abym ją Bogu pożyczyła, który ją w aniołka przemieni, a jakżem długo, długo na nią czekała, nim do mnie wróciła! Już jej nikomu nie pożyczę. Wolalabym ją raczej zabić i lube ciało jej zatrzymać!«

Na te straszne słowa matka jak trup zbłądła i padłszy na kolana przed szaloną, ze łzami ją w oczach zaklinała, aby nie zabijała jej dziecienia; ale szalona na jej łzy i rozpacz nie zważała bynajmniej, tylko ciągle pieściła się dziecieniem i całowała je to w usteczka, to w oczy.

Tymczasem ojciec pospieszył i przyprowadził dyrektora szpitalu. W tej chwili prawie trudno było rozeznąć, która z tych kobiet właściwie szaloną była, ponieważ rozpacz matki czyniła ją zupełnie do szalonej podobną. Nareszcie postanowiono nie używać żadnej przemocy i szaloną z dziecieniem zaprowadzić do jej celi i czekać aż dopóki nie zaśnie, a wtenczas odebrać od niej dziecko. Nieszczęśliwa zaledwo przyszła do swojej izdebki, natychmiast, postawiwszy dziecko na ziemi, zaczęła wyścielać dla niego dołek w swoim łóżku, a matka patrzyła ciągle z trwogą na jej poruszenia przez kratę.

Szalona, położywszy dziecko do tej pościolki, zaczęła nad niem drżącym głosem śpiewać, aby je uspiła, potem położyła się sama, i zaśnęła przy jego boku. W tej chwili podszedł stróż po cichu do jej łóżka, i pochwyciwszy dziecko, oddał je matce, która wykrzyknawszy z radości, czém prędzej uciekła.

Na ten krzyk ocknęła się ze snu szalona, a nie ujrawszy dziecięcia przy swoim boku, wstrząsała jak hyjenna żelazniami pretami swojej klaki, zawyła przeraźliwie i padła na ziemię. Przybieżono w pomoc, ale już nie żyła.

— Ze Lwowa. —

Tutejsza księgarnia B. Jabłońskiego zajmie się nowym wydaniem całej *Biblii*, wzorowego pod względem języka i dokładności przekładu ks. Jakóba Wujka z *Wagrowca*. Dzieło to składać się będzie w podwójnych kolumnach z przeszło 130 arkuszy druku. Przekład Wujka, uskuteczniłszy z polecenia papieża Grzegorza XIII., wydany został pierwotnie z potwierdzenia Klementa VIII., za zatwierdzeniem Karłowickiego, arcybiskupa gnieźnieńskiego. Ta pierwsza zupełna edycja (według Bentkowskiego) wyszła w Krakowie r. 1599 w drukarni Łazarzowej. Terazniejsza odznaczy się doбором papieru i czcionek.

Zeszyt czwarty dzieła umiarkowanego-opisowego, wychodzącego u Piotra Pillera: *Galicyja w obrazach*, zawiera wraz z tekstem: 1) *Widok kościoła Bernardyńskiego we Lwowie*; 2) *Wodospad Prutu pod Dorą w obwodzie stanisławowskim*; 3) *Szczątki zamku Szymbarka w obwodzie jasielskim*; 4) *Laszki Królewskie w obwodzie złoczowskim*.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego, wyszedł Nr. 9. i 10., i obejmuje przedmioty następujące: Nr. 9: O plewności gruntu. O koceniu owiec. O kastroowaniu krów. Opisanie fabryki cukru w Żurawnikach. Przepis na zacier kartoflowy. Szparagi w ziemie. Kalafior przechowywać. Zeby cebulki kwiatowe we trzy tygodnie rozkwitły. Jarmark na wełnę w Lipsku, w dzień Sgo Mienąta. Jarmark jesienny na wełnę we Wrocławiu. Nr. 10: O uprawie roli. O dawaniu owcom soli owocki lub kuchennej. Funt cukru za 1 1/4 kr.; wywód tego dokładniejszy. Odpowiedz na zarzut przeciwko zacierowi bez siodła. O fermentacji zacierów wodą wapienną zadasznych. Karmienie bydła rybami w Firmarku. Wół uwagi godny. Nowy sposób patentowany garbowania skór.

W Warszawie, jak *Kuryer* donosi, wyszedł w roku bieżącym także: *Noworocznik dla dzieci*.

Pisma rosyjskie wspominają z wielkimi pochwałami o młodej poetce, hrabiance Roztopczynowie i z płodów jej, równie jak z utworów młodego piewcy Timofejowa, wiele pięknego wrożę dla rosyjskiej narodowej poezji.

Z Multan. Istnieje teraz pewny rodzaj współzawodnictwa między Wołoszczyzną a Multanami. Gdy Wołoscy czynią znaczne postępy w naukach i sztukach, Multańczykowie również nie chcą pozostać w tyle. Towarzystwo młodych uczonych Multańczyków zamierzyło wydawać dziennik, wyłącznie poświęcony piśmiennictwu narodowemu. Inne towarzystwo zajęło się przekładem na język multański dzieł francuskich, niemieckich, polskich i t. p. Staraniem hospodara teatr multański został odnowiony i ma już dotąd potrzebną ilość artystów dramatycznych. Repertuar tego teatru zawiera wiele sztuk narodowych, odznaczających się, jako to: dramę pana Heininger, pod tytułem: *Stefan VI. książę Multan*, i drugą: *Michał Waleczny, hospodar Multan*, której autorem jest bezimienny. Obie te sztuki muszą się podobać publiczności, bo są napisane w stylu prostym, łatwym i oddychają przywiązaniem do rodzinnego ziemi. Miały być przedstawione w grudniu, a dla widzenia ich zjechało się mnóstwo osób. (G. Por.)

Gazeta kobięca. Damy, autorki, pisały dotychczas po większej części powieści tylko dla dzienników. Od nowego roku wychodzi w Lipsku li przez kobiety pisany dziennik: *Gazeta kobięca*, pismo dla zabawy kobiet. Ludwika Marezoll w Jenie jest wydawczynią i liczy 14 autorek jako współpracowniczkę tego pisma. Ciekawi jesteśmy bardzo, ażali w tym piśmie krytyka i polemika przestrzeganiemi będą.

Porównanie. Życie ludzkie podobne jest do skorowozu, który na wyścigi pędzi. Kołmi są namiętności, a rozum pocztylionem, który je z przeczornością kierować umie; napakowane kufr są naszą pomysłowością, okienko w tyle powozu naszym wspomnieniem o przeszłości! Ten skorowóz pędzi przez burze i śloty czasu, póki na miejscu przeznaczenia w krainie pokoju nie stanie, gdzie swych podróżynych zrzuca. Śmierć jest kontrolorem, który paszporty odbiera i w księgę wieczności zapisuje. Wledyto zasypia utrudzony wędrowiec w krainie spokojuści, póki go grzmiony puzan do nowego życia nie przebudzi!

Towarzystwo Laury de Bach w Konstantynopolu. Towarzystwo sztucznych jeźdźców pani de Bach, znajdujące się od niejakiego czasu w Konstantynopolu, zostaje pod bezpośrednią opieką wielkiego sułtana, pobiera od niego placę i za jego rozkazem opatrzonem bywa we wszystko, czego tylko potrzeba do utrzymania ludzi i koni. Dostaje codziennie 400 ók siana, 500 ók słomy, a 200 ók owsa. Następnie: 15 ók mięsa, 2 oka ryb, 3 oka ryżu lub leguminy, 1 oko sera, 1 oko cukru, pół oka palonej i zmielonej kawy, 1 oko masła, 1 oko oliwy, 15 ók wina, 2 oka wódki (tych dwóch artykułów ostatnich jeszcze nikomu innemu nie dawano), 2 oka octu, 3 oka jaj, 2 oka kapłonów, 4 oka wątroby, 6 ók owoców i na miesiąc 10 ók mydła. Jedno oko obejmuje 71 lutów wagi wieśdeuskiej. Towarzystwo od czasu jak od sułtana zostało powołanem, aż do 1. listopada r. z., dało tylko jednemu przedstawicieli, mianowicie: jedno w Sylistryi, trzy w Adryjanopolu, a siedmiu w Konstantynopolu przed wielkim sułtanem, od którego już także 300.000 piast. (33.000 złr. m. k.) w pieniądzech otrzymało. Sztuczny jeździec Soullier, którego sułtan bardzo sobie polubił, odebrał zlecenie njeżdżania dla niego kilku koni.

Zamieszanie w teatrze londyńskim. Harmonija opery włoskiej w Londynie przzerwana została dnia 20. sierpnia r. z. zaraz w początku przedstawienia, przypadkową disharmoniją w sztuce *Anna Bolena*, przez panów Laporte i Iwanowa, w sposób bardzo nieprzyjemny dla publiczności. Iwanow żądał od p. Laporte pewnej kwoty pieniężnej, a ten oświadczył mu, że do wypłacenia jej nie jest bynajmniej obowiązany. Skutkiem tego było, że Iwanow nie chciał śpiewać, przezco powstała wielka wrzawa pomiędzy publicznością w chwili, gdy królowa do łoża weszła, lecz posłyszawszy hałas, natychmiast się cofnęła i nie wróciła, aż po kąd się zupełnie nie uciszyło. Publiczność przywołała p. Laporte, który wyszedłszy oznajmił z przeproszeniem, że spoźnione przedstawienie natychmiast się rozpocznie, lecz gdy publiczność dwukrotnie żądała, aby powiedział dla jakiego powodu zaszło opóźnienie, rzekł, iż tej chwili nie jest w stanie oświadczyć, ale w gazetach powód opóźnienia ogłosi. Później sztuka została przedstawioną, a p. Laporte ogłosił w galecie powód następujący: »Publiczność w ogólności nie może mieć wyobrażenia o nadzwyczajnej dumie i zachwaleńności niektórych historyków, a zwłaszcza historyjonych drugiego rządu, którzy w zarozumieniu swoim brak talentu częstość chętną bezceremonialności zastąpić usiłują. Zwyczaj publiczności ujmowania się za artystą i pociągania do odpowiedzialności przedsiębiorcę za każde przzerwianie

swój zabawy, nadaje najlichszemu aktorowi tak nadzwyczajną władzę, iż przedsiębiorca nie raz jest przymuszonym, by nie ściągnąć na siebie niełaski publiczności, bezcelne i najniesłuszniejsze aktora zadowolnić żądania.

Darunek dla skrzypka Straussa. Bohater walca p. Strauss otrzymał od księżnej Orleańskiej bardzo rzadki upominek, to jest: stare skrzypce roboty Amatego, za które księżna dała dwieście ludiorów.

Fulmifère. Na bystrzej rzce Newie, na przeciwko wsi Pella, odbyło się d. 9. listopada bardzo ciekawe doświadczenie. Dwie skały, które w tym miejscu ntrudniały spławność tej rzeki, wysadzono w powietrze minami, które kawaler le Motte, za pomocą *fulmifère* (piorunika) zapalił pod wodą. Obecni na brzegu widzwie, zdziwieni byli sposobami i siłą tego głęboko pomyslanego przedsięwzięcia, które zawsze do działania gotowe, i bez wszelkiego przygotowania, łodem i wodą, w krótszych lub dłuższych odległościach, ognia elektrycznego udzielać może. Jakkolwiek się zdawało, że powietrze w owym dniu bardzo wilgotne i tak do rozwinięcia, jak i do udzielenia płynu elektrycznego, wcale niezdadne było, wszelako *fulmifère*, wystawiony przez sześć godzin na deszcz, pokonał wszystkie przeszkody. Doświadczenie to, mówi dziennik petersburski, przekonywa, jak wielki pożytek, co się tyczy bezpieczeństwa, odniesie towarzystwo i handel z tego umiejętnego odkrycia. Użycie *fulmiferus* przyłoży się w wielkim stopniu do zabezpieczenia wolnego biegu okrętów; *fulmifère* chronić je będzie od niebezpieczeństwa uderzenia o ryfy i skały, na które tak często są narażone; bowiem to jest niestety aż nadto wielką prawdą, że gdyby to doświadczenie tylko na trzy godzin rychlej wykonanem było, jeden z wielkich okrętów, kosztownym ładunkiem zaopatrzony, nie byłby się rozbił i nie zatonał.

Złoty kraj dla kobiet. Podczas gdy biedne kobiety w Europie na męczyznią bezżenność słusznie narzekają, że ich ta w panińskim stanie bez względu pozostawia; przeciwnie dzieje się po tamtej stronie Oceanu, gdzie jest kraj cały, w którym płeć męska za płcią żeńską nieustannie wdycha, i do wiernej towarzyski życia z utęsknieniem ramiona wyciąga, i gdzie za kobiety, bądź wdowę lub pannę, szuka na sztukę, w przecięciu stotysięcy piastrow płacą. Kraj ten, któremu przyroda, jak się zdaje, swojego najpiękniejszego daru odmówiła, ma zresztą wszystkich podostatkich; wydaje cukier, kawę, bawełnę i wszelkiego rodzaju zboże; najpiękniejsze trzody w dzikim stanie błąkają się po jego bujnych i obszernych niwach; w jedne tylko kobiety jest on nieplodny i jakby zaklęty. Illinois, jedno z niezliczonych państw Zjednoczonych Stanów amerykańskich, jest tak nieszczęśliwą krainą, w której męczyzni równie z miłości jak i na żółtą febrę umierają. Nie masz smutniejszego widoku nad ten, jaki Chicago, stolica Illinois przedstawia. We wszystkich ulicach napotykaś ludzi, wydających głębokie westchnienia i wylewających łez potoki. Po ścianach wszystkich domów ujrzyśz nakreślone wiersze, tchnące najtkliwszą miłością; każdy dom jest zbiorem żalów i czułych pieśni, jestto album liryczne; na każdym miejscu znajdziesz tylko osoby tęskniące za tkliwem sercem, szukające duszy kochającej, któraby im garnęła do ognia przystawiła, któraby się naprawą ich bieliżny zajęła! We wszystkich oczach gore płomień miłości, przez wszystkie pory przebija się tęsknota miłosa. O, jestto położenie okropne! — W całym mieście jeden tylko gubernator, a drugi konsul angielski, którzy się do tego podnieśli zbytku, że każdy z nich ma żonę. Lecz damy te nie mogą nigdy wychodzić z swego pomieszkania; bowiem w tym

dnio, w którymby się wyjąć ośmieliły, stolica Chicago buchnęłaby płomieniem. Każdą razą, gdy w Illinois ogłoszą działami przybycie parowego okrętu, wszyscy mieszkańcy biega tłumem na brzeg morza, i wdarłszy się na okręt, pytają kapitana, ażali nie przywiózł niewiast, któreby miał na zbyciu, choćby po największej cenie. Jednego razu przybyło do Chicago towarzystwo aktorów francuzkich, a już na trzeci dzień dyrektor teatru został z aktorów ogołoconym! Prima donna poszła za mającego plantatora, posiadającego prawie małe królestwo. Aktorka grająca stare matki została małżonką sekretarza gubernatora, mającego kilka milionów w banku Stanów Zjedn., a z subretką ożenił się pewien człowiek prywatny, właściciel trzydziestu ośmiu domów w Chicago. Atoli mieszkańcy kraju Illinois nie długo będą z towarzyszek ościoceni. We wszystkich francuzkich i angielskich portach znajdują się okręty, biorące na swój pokład same tylko niewiasty, z którymi do Chicago popłyną. Spekulacja ta niezawodnie szczęśliwie się powiedzie. Dla tego wszystkie niewiasty, życzące sobie mieć sto tysięcy dolarów rocznego dochodu, Illinejczyka za małżonka i ekwipaż, z zaprzęgiem czterech zwierząt nazwanych lama, niech się zawczasu zgłaszają do kompanii transportu niewiast w mieście Hawrze.

Jeżdżące szynkowalnie. Od nie dawnego czasu widać, w Paryżu jadące po ulicach najpiękniejsze powozy, naladowane najzodobniejszemi beczkami piwa, nad którymi rozpostarte są najpiękniejsze, suto złotem przyozdobione parasole chińskie. Sąto tak zwane omnibusy wielkiego browaru, *brasserie Lyonnais*, które małemi partycjami dowożą swym gościom piwo aż do samych pomieszań, znajdujących się w rozmaitych kierunkach miasta. Zbliżanie się tego jadącego szynku piwnego, ogłasza przerażające dźwięki niezliczonych dzwonek, ozdabiających chiński parasol. Jestto nowość zaprowadzona przez p. Combalota, biegłego praktyka w tej gałęzi przemysłu. Nie do opisania, jaką ilość w pierwszych dniach na ten sposób sprzedano piwa, wkrótce nawet zamówienia tak były liczne, że przedsiębiorcy nie mogli zadość odpowiedzieć żądaniom.

Przestrach nauka. Nie dawno wyderzył się w Paryżu następujący przypadek: Niejaki N. mieszkający na trzecim piętrze, jest taki człowiek, który skoro sobie podpije, zaraz zaczyna kłótnię z swoją żoną. Przed kilkoma dniami był właśnie w takimże stanie i chciał wygrzmocić swoją żonę; ale żona, umknawszy do pobocznego pokoju, zamknęła drzwi za sobą. W czasie gdy N. usiłuje zamek odemknąć, żona otwiera okno i wraz daje się słyszeć na dole krzyk i »Jezus, Maryja!« jakaś osoba spadła na dziedziniec z trzeciego piętra. N. przerażony tą myślą, że się żona jego z okna rzuciła, przechodzi do opamiętania; wyważa drzwi, bieży do okna, spoziera na dziedziniec i zobaczywszy leżącą na ziemi niewiastę krzyczy gwałtu z rozpaczy. Sąsiedzi i przyjaciele podejmują trupa, wnoszą do pokoju, i z ubolewaniem kładą w łóżko. Na ten widok rzuca się N. na ziemię i oddaje się rozpaczy; nareszcie zrywa się nagle, bieży i chce rzucić się z okna. Atoli głośny śmiech wywodzi go z błędu; żona, o której sądził, że się z okna rzuciła, wyskakuje z zapieka i rzuca mu się na szyję; wtedy dopiero poznął, że mniemany trup nie był nic innego, jak tylko wypchany majak, który pani N. przebrała w swoje suknie. Mąż przyrzekł, że się w przyszłość poprawi.

Sprostowanie. W Rozm. Nr. 1. str. 2, w przedz. 2giej, wierszu 21m od góry, zamiast *całą modu*, powinno być: *całą mocą*; na str. 7, w wierszu 15m, w przedz. 1szej, zamiast *rozbojników*, czytaj *rozbojnikach*.